

Trudno kochać Carmen

Warszawska Opera Narodowa wystawiła ostatnią premierę sezonu: „Carmen” Georges’a Bizeta.

Reżyser Andrzej Chyra wykonał tu kawał teatralnej roboty. I poniósł porażkę.

ANNA S. DĘBOWSKA

Popularny aktor i wykształcony reżyser po raz trzeci podjął się pracy w operze. Wcześniej Chyra zrealizował „Graczy” Dymitra Szostakowicza w Operze Bałtyckiej (2013) i „Czarodziejską górę” Pawła Mykietyna na festiwalu Malta w Poznaniu (2015).

Jednak największym wyzwaniem reżyserskim, z jakim miał do czynienia, jest „Carmen”. Tytułowa bohaterka i jej kochanek Don José mają złożoną relację opartą na przyciąganiu i odpychaniu, na walce o dominację. Zalotna Cyganka Carmen z noweli Prospera Mériméego dzięki sile uwodzicielskiej muzyki Bizeta stała się postacią mityczną: bohaterką popkultury i rozpraw akademickich, obiektem westchnień feministek.

„Wszyscy znają imię Carmen - pisał Jean-Luc Godard. - Jej uporczywe pragnienie wolności i samostanowienia czyni ją żeńskim odpowiednikiem Don Juana - woli zginąć, niż wyprzeć się samej siebie. Gdy Carmen przestaje kochać, Don José może tylko zatopić nóż w jej ciele przy wtórze okrzyków tłumu oglądającego korridę”.

Z gwaru w mrok

Ten finał rozgrywa się u Chyry na proscenium, na tle wielkiego ekranu, na którym widać w zbliżeniu twarze obojga wykrzywione rozpaczą i gniewem. Spektakl zmienia rytm, bo wcześniej wielka scena Opery Narodowej roi się od żołnierzy, dziewczyn z fabryki cygar, dzieci, odświętnie ubranego tłumu mieszkańców Sewilli.

Chyra dobrze poprowadził sceny zbiorowe z udziałem Chóru Teatru Wielkiego i Chóru Chłopięcego „Artos” - scena wibruje detalami, bo każda z postaci ma swoje motywacje i rolę do odegrania. W finale bohaterowie zostają jednak odcięci od gwarnej i rozświetlonej przestrzeni - proscenium tonie w mroku. To ostatnie chwile dumnej Carmen (Rinat Shaham) ubranej w biel, kolor żałoby i śmierci.

A jednak ta dobrze obmyślona scena nie porusza, nie wyciska łez współczucia jak w innych inscena-



cjach. Znacznie bardziej przekonujący jest moment, gdy Don José (Leonardo Capalbo) wyznaje Carmen miłość (aria „Ten kwiat, który mi rzuciłaś”). Wtedy widać, jak do siebie nie pasują: on jest sentymentalnym marzycielem, ona uwodzicielką doskonale panującą nad emocjami.

Gargamel w teatrze

Chłód dominuje w przedstawieniu. Zamiast gorących emocji oglądamy niezręczne próby aktorskie śpiewaków, którym wyraźnie zabrakło jednoznacznych wskazówek reżyserskich. Oglądamy zadziwiająco brzydkie kostiumy projektu Magdaleny Maciejewskiej: kostium historyczny sąsiaduje z białą koszulą całkiem współcześnie wypuszczoną na spodnie od garniturowu, Carmen paraduje w legginsach między dziewczynami z fabryki cygar ubranymi w garsonki z domu towarowego. Istna pstrokaczna stylistyczna.

Mieszane odczucia mam też w stosunku do scenografii Barbary Harnickiej. Na scenie obrotowej ustawiona jest żelazna, pomalowana na niebiesko, ażurowa konstrukcja w kształcie amfiteatru. W tej przestrzeni rozgrywa się część akcji. Pomysł ciekawy, bo w „Carmen” życie jest częścią spektaklu, w którym wszyscy taksują się wzrokiem. Jednak warszawska scenografia przypomina postmodernistyczną architekturę „gargamelową”, która rozkwitła w latach 90. XX wieku i przeczy gorącemu kolorytowi muzyki Bizeta.

Zakochanie dla każdego

Z Andrzejem Chyrą kolejny raz współpracowała dramaturżka Małgorzata Sikorska-Miszczyk. Razem dopisali do libretta wątek niewinnego chłopca, który w końcu staje się wysłannikiem diabła i wręcza Don Josému nóż. Diabeł to czerwona sylwetka z rogami - pojawia się w formie wizualizacji, gdy orkiestra pierwszy raz gra przewodni motyw śmierci.

Andrzej Chyra i dramaturżka Małgorzata Sikorska-Miszczyk dopisali do libretta wątek chłopca - z uosobienia niewinności zmienia się w wysłannika diabła

Reżyser dostrzegł, że w świecie „Carmen” każdy jest zakochany lub odtrącony. Bohaterowie współistnieją w czymś w rodzaju komuny, w której przemytnicy palą cygara z żandarmami, a koleżanki Carmen - Frasquita (Joanna Kędzior) i Mercedes (Anna Bernacka) - tworzą stadło lesbijskie. Pod tym względem koncepcja Chyry i Sikorskiej-Miszczyk jest ciekawa i przekonująca.

Spektakl bronił się dzięki muzyce, którą sprawnie, w żywiołowych tempach poprowadziła kanadyjska dyrygentka Keri-Lynn Wilson. W Carmen wcieliła się izraelska mezzosopranistka Rinat Shaham, która wykonywała tę partię w kilkudziesięciu różnych inscenizacjach, jednak jej śpiewowi brakowało swobody. Śpiewała znacznie lepiej, ilekroć zapominała o wskazówkach reżysera, które wyraźnie ją krępowały.

Poprawnie partnerował jej tenor Leonardo Capalbo jako Don José, o wiele bardziej przekonujący wokalnie był baryton Mariusz Godlewski jako toreador Escamillo. Polscy śpiewacy wypadli znakomicie. Duże brawa dla Joanny Kędzior (sopran) i Anny Bernackiej (mezzosopran), ale największe dla młodej Ewy Tracz śpiewającej partię Micaëli, odrzuconej narzeczonej Don Josego. Jej świetnie brzmiący, silny sopran sprawił, że dobra Micaëla zatriumfowała nad mroczną Carmen. ●

„Carmen” Georges’a Bizeta, dyr. Keri-Lynn Wilson, reż. Andrzej Chyra. Premiera 7 czerwca w Teatrze Wielkim - Operze Narodowej w Warszawie. Najbliższe spektakle: 12-17 czerwca